

# OPIEKUN DZIATWY

BEZPŁATNY DODATEK DO „GŁOSU WĄBRZESKIEGO”

NR. 21

WĄBRZEŻNO, DNIA 30 MAJA 1936 ROKU

ROK 6

## PRZYJDŹ DUCHU ŚWIĘTY!

Przyjdź Duchu Święty, przyjdź,  
Promienie łaski daj  
Tym, którzy idą w mrok,  
W posępną, ciemną dal!  
Do serc wąpiących znijdź,  
Opieką otocz kraj,  
Do nieba kieruj wzrok  
I stłum niemocy żal!  
U Ciebie szuka sił  
Kochany polski lud,  
Co nie chce innych dróg,  
Falszywych hasel słów —  
Bo Tyś mu wsparciem był,  
Przy Tobie prawdy cud,  
Ty, ojcóm naszych Bóg,  
Wskrześ dawną wiarę znów!  
Na naszych niwach zbudź  
Miłości święty kmiat,  
Błogosław w każdy czas  
Każdemu spośród nas —  
Niech czystą będzie młódź,  
Niech kwitnie pośród chat  
Pobożność pełna kras,  
I skruszy pychy glaz.

X. Ewaryst Namorowski.

## Pan Tulipan

Mała Kocia przeziębila się już dawno. Jeszcze, gdy padały te brzydkie, zimne i mokre deszcze, mama położyła ją do łóżeczka i zabroniła wstawać.

Teraz świeci ciepłutkie, suche słoneczko, ale Kocia jeszcze leży w łóżku.

Nudzi się Koci tak wciąż a wciąż leżeć w tem łóżku i wcale nie widzieć, co się dzieje na dworze. A napewno dzieje się tam dużo ciekawych rzeczy, bo słyhać wciąż głosiki ptasie, furkot skrzydełek, to wietrzyka gądziolenie przymilne, to szepty przystrojonych w zielone pączki gałązek...

— Co też tam robi mój klombik w ogrodzie? — myśli Kocia.

— Bzz! bzz! bzz! wpuście mnie do pokoju a wszystko ci opowiem, com widziała, com słyszała, co naprawdę było i co mi się śniło... Bzz! bzz! — zaprasza się wielka zielona mucha ze złotymi oczami i puka łebkiem w okno Koci.

Więc Kocia prosi mamusię, ażeby

mamusia otworzyła okno. Mamusia otwiera.

Kocia uważnie przypatruje się skrzydlatemu gościowi i widzi wyraźnie, że to nie jest taka zwyczajna mucha. To jest z pewnością jakaś Wróżka-Muszka.

— Bzz! bzz! Byłam w ogrodzie — brzęczy Wróżka-Muszka — widziałam twój klombik.

— Tak? — cieszy się dziewczynka. A czy go podeptała Kózka-Skokuska — nie rozgrzebały go kruki-Złotopiórki? nie pokopał zbytny piesek Esek-Floresek?

— Nie, nie — brzęczy Wróżka-Muszka. — Wszystko w jaknajlepszym porządku. Nawet na samym środku rośnie coś szpiczaste zielone.

— Cóżby tam rosło? — Moja Wróżko-Muszko, jak się dowiesz, co to takiego na środku mego klombu rośnie, to przyfrun i powiedz mi.

Na drugi dzień przyfrunęła Wróżka-Muszka, obleciała cztery kąty, na łóżeczku Koci siadła i powiada:

— To coś szpiczaste na twoim klombiku rosło i już sporo urosło. Wygląda teraz, jak zielona rurczka. Ale co to jest, tego jeszcze nie wiem.

— Moja Wróżko-Muszko — prosi strasznie ciekawa Kocia — leć prędzietko na klombik i przyglądaj się temu, jak rośnie, co też z niego wyrośnie.

Muszka poleciała. Nie było jej długo. Wreszcie przyleciała i powiada:

Już wiem, że wyrosły dwa podługne liście, ale co one w środku kryją, tego jeszcze ani ja, ani moja dobra znajoma, pszczoła-Wesoła, ani pan motylek-Wszędobylek nie wiemy.

Muszka zaraz pofrunęła i bardzo długo jej nie było. Kocia myślała, że może ją połknęła jaskółka, albo piesek Esek-Floresek, który także umie łapać muchy.

A to właśnie był dzień, kiedy mamusia pozwoliła Koci pierwszy raz po chorobie wyjść na dwór. Wyszła Kocia na ganek, a z ganku czempredziej śpieszy do ogródka odwiedzić swój klombik. Ogromnie ciekawa, czy rzeczywiście coś nowego na nim wyrosło. A jakże!

Ale to już nie zielony szpiczasty kiełek! nie zielona waziutka rurczka! nie zieloniuskie podługowate listeczki! To na środku, na samym śródecz-

ku klombu stoi na jednej nodze sam pan Tulipan w szkarlatnym kubraczku!

Ewa Szelburg.

## Złamana gałąź

Jablonie w sadzie jeszcze nie kwitły, zaledwie wiśnie osypały się białym puszystym kwiatem tak delikatnym, jak to pierwsze tchnienie wiosny, a tak radosnym, jak uśmiech dobrego dziecka. Białe kule kwitnących wisien, pachnące i urocze, napelnily dzieci radością i weselem. Stały z zadartymi w górę głowami, wchłaniając rozkoszny, delikatny zapach.

Nik westchnął głęboko i rzekł:

— Jest tak cudnie, że aż coś boli!

Ale Olek ofuknął go:

— Dziwak jesteś! Cóż cię ma boleć?

Nagle wszystkie dzieci krzyknęły z oburzenia: oto Ania nagięła ku sobie białą, rozkwitłą gałązkę i złamała ją, nieświadoma zła, które czyni.

— Wstydz się — Aniu — wołał Tom, zacisnąwszy pięście — wstydz się! Złamałaś kwitnącą gałąź. To musi ją strasznie boleć!

— Mój Boże, taka śliczna gałązka! — westchnął Nik, a Marta dodała z przekonaniem:

— To wielki grzech niszczyć kwitnące drzewo!

Ania przeraziła się bardzo. Stała na środku ścieżki, kręcąc niepewnie ułamaną gałązką... Miała wielką ochotę rozpłakać się, ale ambicja nie pozwalała jej na to. Dzieci zaś stały nokoło, trzesąc głowami nad nią i nad jej gałązką. W końcu postanowiła wyruszyć do domu. Ania poszła ostatnia i puściła nieznacznie gałąź na ziemię, by zapomnienie pokryło tę sprawę. Ale Tom, który zawsze wszystko widział i był nielitościwy, krzyknął:

— Tak, poto ułamała, żeby teraz rzucić! Brzydka dziewczyna!

Naturalnie tego Ania już znieść nie mogła, powiedziała krótko: „Jesteś gorszy od Heroda”, zawróciła na pięcie i pobiegła do domu.

— Bardzo dobrze — rzekł Tom obojętnie, choć mu porównanie nie poszło w smak, podniósł gałązkę i w kilku skokach dogonił dzieci, które dotarły do domu.



**W dniu I Komunii św.**

Powiedz, gdzie spieszysz, dziecię moja,  
Pięknie ubrana, ze świecą w ręku?  
Mirtowy wieniec, odznaka Twoja,  
Dodaje Tobie uroku, wdzięku.

Już biją dzwony, witając Ciebie;  
W girlandy kościół przyozdobiony.  
Chóry aniołów śpiewają w niebie,  
Bo dzisiaj będzie Bóg uwielbiony.

Dziś poraz pierwszy przyjmiesz Jezusa  
Do serca Twego z wielką radością,  
Więc prosz i dziękuj, że masz Chrystusa,  
On Twoim Panem, Twoją Miłością.

Niechaj Cię strzeże przez życie Twoje,  
Niech Ci obfitość łask Swych udziela,  
Niech Ci osładza późniejsze znoje,  
Miej wciąż w pamięci ten dzień wesela!

**Pierwsza i ostatnia Komunia św.**

W czasie najokropniejszego przesładowania Kościoła w Meksyku dawniej niepokój panował od dni kilku w ciemnym i ponurem więzieniu, w którym jęczały nieszczęśliwe ofiary prezydenta Callesa. Zarówno wśród dozorców, jak i wśród aresztowanych krążyły niezwykle pogłoski i coraz częściej szepmano sobie na ucho słówko: „Otrucie“! Niezaprzeczonym zaś było faktem, że codziennie niemal kilku, lub kilkunastu więźniów znikało bez śladu i nikt nie wiedział, co się z nimi stało.

Pomiędzy tymi uwięzionymi za wiarę znajdował się także młody, gorliwy p. Luiz Betanzos. Zaaresztowany na podstawie fałszywego oskarżenia o czynny udział w spisku armji opozycyjnej, odmówił wszelkich zeznań, które mogłyby go ocalić, ale jednocześnie narazić innych na niebezpieczeństwo. Za walkę piórem w obronie Chrystusa Króla, musiał pożegnać żonę i dziecko i odszedł do więzienia z tem przeczuciem, że już ich więcej nie zobaczy. Wraz z nim został uwięziony jeden z przyjaciół, który podzielał całkowicie jego przekonania i pomagał w apostołskij pracy. Umieszczeni w sąsiednich celach, mogli oni porozumiewać się z sobą pukaniem w cienką ścianę.

Lecz oto dzisiaj towarzysza niedoli już mu nie odpowiada. Rano jeszcze słyszał jego jęki, najprzód słabe, potem coraz głośniejsze, a wreszcie wszystko ucichło...

Z sercem pełnem smutnych przeczuć p. Luiz Betanzos myśli już o tem tylko, w jaki sposób mógłby dostąpić szczęścia przyjęcia choć raz jeszcze Komunii świętej? Gdy oparty o kratę

okna oddawał się coraz bardziej przynębiającym myślom, ujrzał nagle pod murem więziennym jakiegoś człowieka, który widocznie, chociaż bardzo ostrożnie, dawał mu znaki. — Poznał w nim jednego ze swych służących, napisał więc niezwłocznie następującą kartkę:

„Łada chwila mogę zakończyć życie, jak wielu moich towarzyszy. Błagam na miłość Boską o Komunię świętą. Betanzos“.

Obwinawszy tym kawałkiem papieru znalezionej na podłodze kamyk, wyrzucił go oknem, a służący podniósł go natychmiast i zniknął...

W przepysznie umeblowanym i rzęsiście oświetlonym salonie, ze starannie zasłoniętymi oknami, odbywa się scena, godna rzymskich katakumb. — Wśród głębokiej ciszy, otoczony dość licznem gronem gorliwych katolików, zarówno mężczyzn, jak i kobiet, odprawia biskup N. N. Najśw. Ofiarę.

Wpółśród obecnych ogólną uwagę zwraca mimowoli śliczny ośmioletni chłopczyna. Oczy jego jaśnieją, jak gwiazdy, usta zaś poruszają się szepem gorącej modlitwy. Za chwil kilka mały Juanito przyjmie pierwszą Komunię św., poczem powierzą mu również zaszczytne, jak niebezpieczne zadanie. Oto ma on zanieść ojcu do więzienia Pana Jezusa, utajonego w Przenajświętszym Sakramencie. Przed samą Mszą św. chłopczyna upadł do nóg Biskupa i tak usilnie błagał go o tę łaskę, że wzruszony arcybiskup nie mógł się oprzeć jego prośbom, widząc w nich wyraźną wolę Bożą.

Lecz oto dziecko przyjęło już do serca Ukochanego swego Zbawiciela i jest gotowe do wyjścia. Biskup więc bierze korporal, składa w nim Hostję, poczem umieszcza ten skarb najdroższy w jedwabnym woreczku. Nakoniec błogosławi dziecko, które obecni całują ze łzami i zaczynają za nie się modlić, a tymczasem nowy Tarsycjusz wychodzi...

Żołnierze, stojący na straży u bramy więziennej, śpiewają bezbożną jakąś piosenkę.

— Lopijillo, zaprowadź tego malca do naczelnika więzienia — mówi kapral do jednego ze swych ludzi.

— Zaraz — brzmi odpowiedź.

W gabinecie naczelnika, w wygodnym fotelu siedzi człowiek niskiego wzrostu o spojrzeniu dzikiego zwierzęcia i głosem szorstkim pyta płaczące dziecko:

— Po co tu przychodzisz?

— Chciałbym po raz ostatni uściśkać swego ojca.

— A któż jest twoim ojcem?

— Don Luiz Betanzos — nieśmiało odpowiada chłopczyk.

— Ach, ten przeklęty fanatyk! — woła naczelnik szydlerczo. Dobrze, zobaczysz go, ale podziękuj djabłu, że trafiłeś na chwilę mego dobrego humoru, bo inaczej... Muszę cię jednak najprzód „zdezynfekować“, gdyż może... przypadkiem...

To rzekłszy, zaczyna obmacywać starannie ciało biednego dziecka, które drży jak w febrze na myśl, że skarb jego może zostać odkryty, a on nie zdoła zapobiec znieważeniu Przenajświętszego Sakramentu. Co za okropna chwila!

Nagle z ust Juanita wydziera się okropny okrzyk. Uczuł on w ręce jakby bolesne uklucie...

— Spokoju, malcze, spokoju! — woła naczelnik. — Chciałem się przekonać, czy jesteś wytrzymały... Teraz już idź sobie; możesz się widzieć ze swoim ojcem, ale nie baw tam długo...

Na widok syna, wchodzącego do jego celi, więzień w pierwszej chwili nie mógł uwierzyć swym oczom. Gdy drzwi się zatrzasnęły, ojciec i jego jedynak rzucili się sobie w objęcia.

— Prędeż, tatusiu, prędeż — szepnęło dziecko, wydobywając Przenajśw. Hostję z ukrycia. — Musimy się spieszyć, bo zaraz może być za późno. Dziś właśnie przyjąłem pierwszą Komunię św., która, jak mi się zdaje, będzie też ostatnią...

— Co mówisz, moje dziecko?

— Nic, nic, spiesz się, tatusiu — powtarza chłopczyna i odmawia akt skruchy, który wzruszony ojciec szepce za nim.

Po przyjęciu zaś Wiatyku więzień wraz z synem odmawia jeszcze modlitwy dziękczynne. Nagle jednak spostrzega, że dziecko jego drży jak liść.

— Co ci jest, dziecię? — pyta przerażony.

— Ach, tatusiu, czyż ci nie mówiłem, że to może ostatnie już chwile... Bogu dzięki, że nam pozwolił spędzić je razem... Tak, Pan Jezus nietylko przyszedł dziś do mnie po raz pierwszy w Komunii św., ale czuję, że wzywa mnie do siebie... Tak mi jakoś dziwnie... Odwagi... tatusiu!...

To powiedziawszy zamknął piękne, gasnące już oczęta i po chwili oddał duszę Bogu...

Długo tulił biedny ojciec do piersi stygnące już stopniowo zwłoki swego syna. — Na jego ręce spostrzegł ranę...

Podług Le Petit Messenger du Très Saint



# Niebieska róża

Działo się to w bardzo dawnych czasach. Ziemię pokrywały gęste i ciemne bory, poprzerzynane wąskimi drózkami, na końcach lub początkach których leżały ciche wioski i obwarowane murami miasta. — Wszystko razem otulał śnieg; w dzień oświecało słońce, ścieląc na ziemię swoje świetlane promienie, — w nocy migotały gwiazdki i pyzaty księżyc pokazywał swoją pogodną zawsze twarz. Na skraju lasu, stał warowny zameczek bogatego kupca.

Do zameczku prowadziła żelazna brama, której ciężkie podwoje z loskotem otwierały się lub zamykały, gdy kto wchodził lub wychodził. — Zgrzytał wtedy zardzewiały klucz w zamku, a echo rozlegało się po brukowanym dziedzińcu i kamiennych komnatach. — Smukłe wieżyczki zameczku strzelały w niebo tak wysoko, że nieraz o wschodzie lub zachodzie słońca opierały się o nie różano-mleczne lub błado błękitne mgły.

W jednej z najwyższych wież znajdowały się trzy okienka. — W okienkach tych pokazywały się czasem równocześnie twarzyczki trzech córek kupca; tam bowiem była ich mieszkalna komnata. Dwie starsze miały ciemne jak pochmurna noc oczy, i także długie włosy, — w oczach zaś najmłodszej przeglądało się niebo, a jasne włosy otulały twarzyczkę świeciły jak słońce w pogodne dni. Te ostatnią kupiec lubił najwięcej, a ponieważ bardzo dawno umarła mu żona, — sam wychowywał i doglądał jak oka w głowie. Jak nie lubić myślał sobie nieraz, gdy jest tak miła jak majowy poranek i taka jak on cicha, a tak dobra, że widok jej i dotknięcie delikatnych rączek rozprasza chmury smutku i koi bolesne łzy. Znali ją wszyscy, — wielcy i mali, bogaci i biedni, których wspomagała, — i wszyscy kochali bardzo. Pewnego zimowego popołudnia kupiec wybierał się w drogę za morza, góry i lasy, hen do dalekich krain po drogie towary. Na brukowanym dziedzińcu stały ciężkie wozy i siedzieli na nich uzbrojeni słudzy. Mieli ciepłe futrzane odzienie i nagie miecze u boku. Kupiec też już ubrany do drogi, — poszedł się z córkami pożegnać. — Smutny był. — Zbójcy grasowali po drogach; — z lasów wychylały się często dzikie zwierzęta. — Nie był pewny czy wróci, czy dom powita znowu, zdrów i cały.

— Smutne było rozstanie. — Kupiec chcąc córki swe trochę rozweselić, — zapytał, co chcą by im przywiózł ze swej podróży. — Mnie suknię naszytą perlami rzekła najstarsza, — a mnie trzy sznurki koralu dodała druga. — A tobie Różyczko co przywieźć? — rzekł kupiec zwracając się do najmłodszej.

Ja tatusiu odparła, — bardzo pragnęłabym mieć niebieską różę. — Mówiła mi niania, że kto ją posiada jest sam szczęśliwy i szczęście naokół sieje. — Nie wrócę bez niebieskiej róży — rzekł kupiec, — a pożegnawszy się z córkami szybko zbiegł ze schodów, by ukryć łzy, które cisnęły mu się do oczu.

Na dziedzińcu jeszcze wydawał rozkazy pozostałym sługom, jeszcze córkom od ust posyłał ręką pocałunki w górę ku oknom, — aż wreszcie otworzyła się brama, — znikły poza nią wozy, zabrzmiał głos trąbki i znowu cisza zapanowała w zamku.

— Mijały dni. Ciągły się długie zimowe wieczory. Przechodziły ciche, ciemne noce. — Kupiec nie wracał. — Córki przedły rozmawiając wesoło o darach, które przywiezie im ojciec; tylko Różyczkę ogarniał coraz większy niewytlumaczony smutek, coraz częściej stawała w oknie, z którego było widać drogę wiodącą do zamku, — a na zamazanej szybie od lez i gorącego oddechu, — powstała jasna plama.

Tymczasem kupiec nakupiwszy już towarów, — kupił dwóm starszym córkom podarunki, — a od powrotu do domu wstrzymywało go tylko to, że nigdzie dotąd nie spotkał niebieskiej róży. Zmęczony długą podróżą i zmarwiony próżnym poszukiwaniem, — już myślał chyba wracać do domu, gdy nagle usłyszał z daleka delikatne granie. Tępy czyste, dźwięczne, — ledwo dla ucha pochwytne doprowadziły go do bram jakiegoś nadzwyczajnego ogrodu. Naokół, gdzie okiem sięgnąć zima, — białe śniegi i mrozy oddech ścinające, a z za wysokiego muru wiał jakby majowy ciepły wietrzyk, brzmiał cudny śpiew ptasząt, rozlegało się ćwierkanie koników polnych i taki miły dźwięk harf, że kupcowi i jego sługom tajały serca a dusze zwracały się hen, za mury ogrodu. Oczarowany tem kupiec trzy razy zastukał do bramy. — Otworzyła się — i oczom zdziwionych ukazał się prze-

śliczny ogród pełen słońca, ptasząt, kwiatów, krzewów i zieloności. Między tem wszystkim, — na końcu jasnej dróżki, — połyskiwały ściany kryształowego pałacu.

Nagle o dziwo! Na dużym klombie, — w samym jego środku, ukryta między krzewami, — strzelała ku słońcu niebieska róża. Oto kres mych marzeń i koniec długich poszukiwań pomyślał kupiec i chociaż rękę mu darły ostre krzewy — wyciągnął ją po różę i już, już miał ją zerwać, gdy nagle uczył i zobaczył, że ramię ubezwładniły mu duże kosmate łapy, a gniewny głos odezwał się: Zostaniesz śmiałku ze mną przez rok tu, w tym ogrodzie za to, — żeś odważył się sięgnąć po niebieską różę. Przerażony kupiec dopiero teraz spostrzegł straszego smoka, który widocznie leżał czuwając u stóp różanego krzewu. Nie było rady. — Daremne były wszelkie błagania, daremne opowiadanie o nieszczęsnych córkach, czekających powrotu ojca. Smok był nieublagany. Wozy kazał wyprzągnąć i zaprowadził kupca i jego służbę do pałacu, gdzie zobaczyli nowe cuda. — Same otwierały się podwoje kryształowych sal, śnieżne obrusy same zaścielały stoły, — a półmiski z wyszukanemi potrawami same ukazywały się i wypróżnione znikły ze stołów. — Służba była niewidzialna, — smok straszny i milczący, — to też kupiec posępniał z dnia na dzień, wychudł, żółkł, a płynące mu z oczu łzy wyłobily dwie bruzdy na policzkach.

Pewnego dnia smok stanął przed nim i rzekł: Słuchaj człowiecze: Kto tu wszedł — nie wychodzi i roku ze mną nie wytrzyma w tym pałacu słońca, zapachów i blasku. — Ja jednak lituję się nad tobą. Jedź do domu i przywieź mi twą córkę najmłodszą jako zakładniczkę. Niech rok tu ze mną przepędzi. Nie pokażę się jej na oczy jeżeli sama nie zechce, — krzywdą żadną jej się nie stanie, — a za rok oddam ją tobie. — Jeżeli ona nie zgodzi się tu przybyć, musisz sam wracać, bo zemsta moja wszędzieby cię dosięgła. — A teraz jedź i daj jej odemnie tą niebieską różę.

Westchnął kupiec, — ale czuł, że innej rady niema, — chęć zobaczenia córek przemogła, — zgodził się więc na propozycję smoka.

(Dokończenie nastąpi)



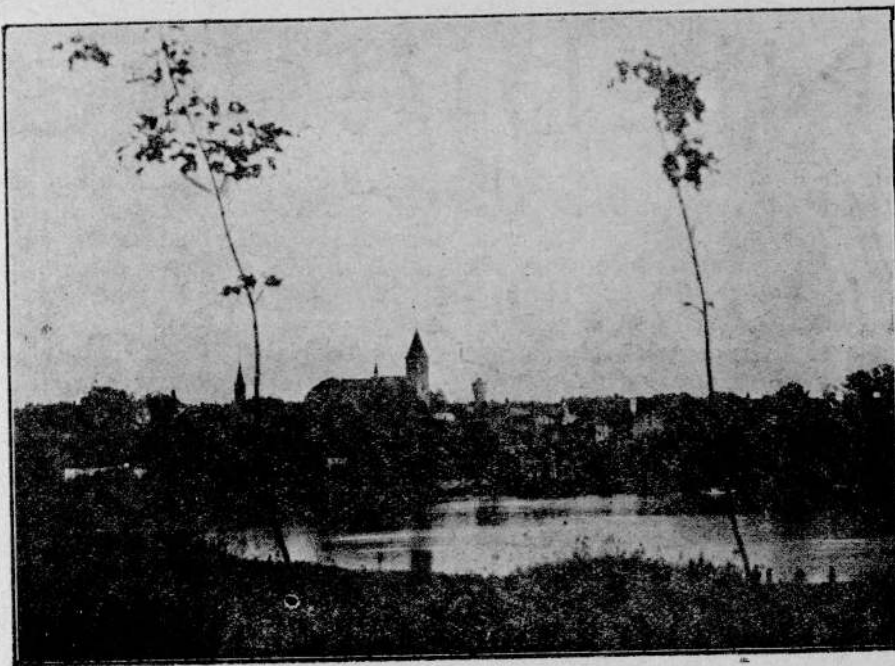
JUSTYNA BOBIŃSKA.

### NAD JEZIOREM ZAMKOWEM W WĄBRZEŃNIE.

Szumi, faluje piękne jezioro  
W tem jeziorze jest rybek sporo,  
Jezioro prują śliczne łódeczki,  
A w koło niego rosną witeczki.

Za witeczkami alejki cudne,  
A przy alejach ławeczki schludne.  
Obok jeziora stoją wyżyny,  
A na wyżynach zamku ruiny.

Z wyżyn roztacza się widok na miasto,  
Nad nim kościelna wieża wyrasta,  
Wokół się ciągną zagony liczne,  
I trzy jeziora, takie prześliczne.



## Finek na wiejskim podwórku

Pierwszego dnia po przyjeździe Finka z Warszawy nie puszczono go na podwórze. Dzień ten Finek zużył na zaznajomienie się z ogrodem. Wpadł w trawę, wytarzał się, szarpał za kwiat jeden, drugi, zobaczył wróbla na ścieżce, podskoczył za nim. Gdy mu zniknął z oczu, usiadł i szczełknął: — Wróć się, będziemy się bawić!

Zastanowiła go ciemna, brzęcząca kula, która raz zjawiła się na wielkim kwiecie piwonji, to znów zniknęła. Gdy kula była już blisko, Finek kłapnął na nią zębami. Złapał, ale corychlej wypluł i parszając biegł po trawniku, tarł noskiem o trawę. Bąk uciał Finka w nos, który spuchł mu z jednej strony w olbrzymią górę.

Spuchnięty Finek wyglądał tak zabawnie, że ciocia Musia na widok skancerowanego psiego nosa parszła śmiechem.

— A ty, łobuzie! — zawołała, głaszcząc psa po głowie. — jak ty wyglądasz? Pociąg gonił osę albo bąka, co? Cóż za zabawną minę ma ten Finek!

Finek miał wyraz tak wesóły, tak łobuzerski, tak żywo patrzył ślepkami że widać było odrazu, iż niewiele robi sobie ze spuchlizny, z bąka, z całego świata.

— Mam nos jak bania! To prawda! Ale puśćcie mnie, bo nie mam czasu! Życie jest takie ciekawe!

Wypadł do ogrodu spowrotem. Zobaczył, że furtka, prowadząca z ogrodu na podwórze, jest niedomknięta. Ostrożnie przesunął się przez szparę, stanął w podwórzu i — — oniemiał!

Drzwi od kurnika były niedomknięte. Jednym skokiem Finek wpadł do wnętrza i nie namyślając się wiele, zaprosił Łysuchę kurę do biegania w ósemkę. Kogut Bielak spojrzał na niego groźnie, trzepnął skrzydłami i widząc, że pies gotów mu strącić dzieci, wrzasnął:

— Precz! Co to jest? Co to ma znaczyć? Ja ci tu dam, ty taki owaki! Oho, ho, ho ho!

I ani się Finek obejrzał, gdy już leżał na ziemi, a Bielak kuł twardym dziobem, gdzie trafil.

— O, jo, joj! Co to jest? Boli, boli! — zaskowyczał Finek.

— Masz, masz! — wołał Bielak nie przestając kłuć, a kury przyglądały się porażce z wysoko wyciągniętymi szyjami i dogadywały:

— To, to, to, to! To, to, to, to! Dobrze mu! Tak, tak, tak!

Finek, gdy tylko się mógł poderwać, wyskoczył z kurnika, odbiegł o kilka kroków i siadł na ziemi. Wszystkie go bolało.

A cóż to za niegrzeczne stworzenia, zamiast się bawić, biją tak boleśnie!

## HUMOREK

Burza w nocy budzi małą Danusię, która woła:

— Mamo, chcę do ciebie do łóżka!

— Dlaczego?

— Bo w moim grzmi.

—o—

Nauczyciel w szkole zwraca się do ucznia:

— Powiedz mi, jaki to będzie czas, gdy powiem:

— „Wczoraj się ożeniłem“...

— Czas przeszły...

— Dobrze... A jak powiem: — Jutro się ożenię.

— To już będzie dwużeństwo, proszę pana profesora...

—o—

Mały Bobuś jest niegrzeczny. Nie zjadł śniadania, nie chce się ubrać za żadną cenę.

— Sam się nie ubiorę — płacze — niech mnie niania ubierze.

— Ależ Bobusiu — mówi matka — musisz się sam nauczyć ubierać. Jak będziesz duży i pójdiesz do wojska, to nie będziesz miał niani...

— Nieprawda!... Wszyscy żołnierze spacerują z niankami...

—o—

No, widzieliście przez mikroskop, ile to zwierzątek mieści się w kropli wody?

— Tak, ojczulku, i teraz rozumiemy dlaczego tak szumi, gdy woda się gotuje?

— A dlaczego?

— Bo te zwierzątka piszczą, że im za gorąco.